



P.M.
FREESTONE

SHADOWSCENT

KORONA
ŚWIATŁA



ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Rozdział 1

LUZ

Chroń te dwa ładunki, wszystkie pozostałe można stracić.

Wiadomość dotarła do miasta Aphorai otulona wyściółką szkatułki, w której kiedyś przechowywano olejek z pustynnej róży. Jakże trafnie. Niczym celny prztyczek w nos. Wiem, że Mistrzynie jest wytrawnym graczem, ale nawet ja uniosłam brwi.

Jednak to nie czas na wspomnienia.

Krańce cesarstwa są dla ludzi czynu, nie dla myślicieli. Dla zaradnych, nie dla niezdecydowanych. Lokalni producenci dymu snu idą ramię w ramię z argusami, gangami najemników i walczą o to, co zostało, a wszyscy starają się przetrwać, oszczędnie gospodarząc w niszach między większymi graczami. I oto jestem tu, szmugluję do świątyni osłabionego księcia, młodą dziewczynę i ich dwóch krzepkich kompanów przez wir walk.

Ach, zmienność losu tych, którzy lojalnie służą Zakonowi.

Na granicy wyrosło miasto namiotów – owoc wszechgarniającej władzy cesarstwa. Dalej rozpościerają się już tylko ziemie bezprawia. Najbardziej brutalni z argusów, którzy podobno strzegą pokoju, i najnikczemniejsi z rzekomo skrupulatnych nadzorców znaleźli się tutaj na skutek ostatnich

wydarzeń, niczym kurz zbierający się przy tylnych drzwiach całkiem porządnego na pozór domu.

– Gdzie jest aphorańska armia? – pyta dziewczyna, a w jej głosie słychać lekką wyniosłość, jakby brak reprezentantów prowincji był dla niej osobistą obrazą.

Zrównała konia z moim wielbłądem. Muszę przyznać, że jej wierzchowiec to rasowa bestia. Ciemna i smukła, a ze sposobu, w jaki odwróciła i uniosła do góry łeb, gdy doleciał ją zapach z obozu handlarzy, który mijaliśmy, domyślam się, że ma swoje wymagania. Koń, jaki przypadłby mi do serca. Tymczasem tylko Pierwszy wie, jak potoczą się sprawy, kiedy dotrzemy bliżej naszego celu.

Dziewczyna zadała mi jakieś pytanie, prawda?

– Podejrzewam, że ją rozwiązano – odpowiadam.

Niech będą dzięki Asmudtagowi, że najukochańszy tatuś nie upierał się, żeby z nami jechać. To wyjątkowy człowiek, który zna swoje ograniczenia. Przypuszczam, że właśnie dlatego Mistrzynie tak ciągnęło do niego wiele obrotów temu. Zna swoje miejsce. Nigdy nie miał zamiaru zdmuchnąć jej płomienia. Ani świecić jaśniej od niego. I jest w zasadzie przystojny. Jeśli komuś podobają się siwowłosi weterani.

Och, to będzie długa jazda, jeśli nie uspokoję myśli. Albo nie uciszę bezustannego paplania dziewczyny.

– Co oni budują?

Dziesiątki robotników uwijają się pod dyktando bezdusznych brygadzystów, pochylają ogorzałe w słońcu plecy i pocą się w porannym upale. Niemal połowa z nich ma piętno zbrodniarza – metalową zatyczkę zamiast nosa. Inni zostali skazani za pomniejsze przestępstwa albo odpracowują długi.

Patrzę, jak się szamoczą i przybieram obojętny wyraz twarzy.

– Mur – odpowiadam.

Na wielbłądzie, którego kupiłam na targu w mieście Aphorai, jedzie Nisai, pierwszy książę Aramteshu. Teraz zdejmuję

przezroczysty welon lapisowoniebieskiej szaty, w którą go przebrałam, i ociera brwi jedwabnym rękawem, potem mruży oczy w ostrym świetle.

– Mur jakiego miasta? Nie widziałem tego osiedla na cesarskich mapach.

Uśmiecham się szyderczo w duchu. Osiedle. Taki poziom dyplomacji nie pozostawia wątpliwości, że chłopak wychował się w pałacu. Jakże uprzejme określenie dla skupiska mocno podniszczonych namiotów i trochę solidniejszego, jednego dużego namiotu z grubego sukna.

– Wiem ze swoich źródeł, że regent wydał takie polecenie, kiedy byłeś niedysponowany, mój książę. Wydaje mi się, że dekret w szczególny sposób wspominał o... jak to zostało ujęte, hm... „potrzebie ochrony cesarskich zasobów i poddanych przed wtargnięciem z zewnątrz”. I coś o „przywróceniu świetności Aramteshu”. A może to było... władanie dzięki „sile i stabilności”? W cesarskich dekretach zawsze brzęczą o czymś nowym.

Zmarszczył brwi.

– Ale za tą granicą leżą Terytoria Sezonowe. Jako następca jestem opiekunem tych ziem.

Opiekun? Pusty tytuł. Od wielu księżyców argusowie nie robili nic, żeby pomóc uchodźcom, którzy uciekli przed niekończącymi się konfliktami za naszą granicą, z głębi terytoriów, które przez cały czas wydają się być w stanie wojny z powodu jednej rzeczy: braku.

Braku środków. Braku prawa. Braku nadziei.

Wielu z tych uciekinierów było utalentowanych i mogło wnieść jakieś wartości do miasta Aphorai, a na pewno robić więcej niż przekładać kamienie z miejsca na miejsce. Na ich nieszczęście najwyraźniej standardowe praktyki stosowane w prowincji zostały wyparte przez cesarskie rozkazy.

Cmokam i wielbłąd zaczyna powoli iść.

– Postaram się nie być przy twojej rozmowie z ukochanym bratem. A teraz zakryj ponownie twarz, książę, bardzo proszę.

Była losańska arguska, teraz Tarcza księcia, zbliża się i przynosi ze sobą zapach wyprawionej skóry i olejku kokosowego, dzięki któremu jej warkocze wojowniczkki aż lśnią. Wyciąga przed siebie ramię z wyrzeźbionymi mięśniami, żeby pomóc jego cesarskiej wysokości przy welonie.

On odtrąca jednak jej rękę.

– Sam potrafię to zrobić.

– Poplątał się, mój ksią...

– To prawda, że pierwszy raz mam na sobie suknię, ale nie jestem niekompetentny – naburmusza się.

– I muszę przyznać, że nosisz ją bardzo dobrze – wtrąca aphorański gwardzista, dosłownie skąpany w oleju bursztynowym. – Do twarzy ci w tym kolorze.

Może to moja wyobraźnia, ale ciemne oczy księcia zdradzają uśmiech za poprawionym teraz odpowiednio przebraniem.

Wśród hałaśliwej bandy handlarzy, którzy skupili się wokół prowizorycznego osiedla niczym muchy przy padlinie – i pachną mniej więcej tak samo ładnie – znajduję jednego, który sprzeda mi kilka przysadzistych hagdmirskich górskich kucy w zamian za nasze wielbłądy i ciężki mieszek ze srebrnymi monetami. To rabunek w biały dzień, ale niestety nie do uniknięcia w trakcie mojej obecnej misji.

Kierujemy się do czegoś, co niedługo będzie bramą wjazdową w murze regenta Iddo Kaidona. Słońce razi promieniami, jakby nas ścigało przy wyjeździe z cesarstwa. Przekupuję argusa przy bramie sumą wyższą niż zwykle, bo chcę uniknąć innych pogoni.

– Wierzę, że to odpowiednie wynagrodzenie za twoją dyskrecję?

Wpatruje się ślepo przed siebie.

– Za co? Nie widziałem nic, co byłoby warte raportu.

Wspaniale.

– Kuce? – pyta dziewczyna, kiedy ledwie doprowadzamy zwierzęta do miejsca, gdzie nikt nas nie słyszy.

Patrzę na jej konia.

– Tak myślałam, że to się spotka z twoją aprobatą, kwiatuszku.

Dziewczyna patrzy w kierunku pierwszych szczytów wznoszących się nad zamglonym horyzontem.

– Chyba nie chcesz zabrać nas w góry?

W odpowiedzi tylko pukam się palcem po nosie.

Jedziemy, zagłębiając się w teren, który jest bardziej pylistą ziemią niż pustynią. Nigdy mi się tu nie podobało. Kurz wciska się w każdą szczelinę.

Ale przynajmniej panuje tu cenna cisza.

– Pewnie minęło trochę czasu, od kiedy tu byłaś? – Dziewczyna zaczyna znowu, jakbym sprowokowała ją myślami.

Nie odpowiadam.

Mój brak reakcji sprawia, że marszczy brwi. Jakże wyczerpujące musi być branie wszystkiego do siebie.

– A może – przeciąga ostatnie słowo, najwyraźniej myśląc, że powie po nim coś mądrego – tak naprawdę nigdy nie byłaś tam, dokąd zmierzamy. Tak jest, prawda? Nie masz pojęcia, czy podążamy dobrą ścieżką. Nawet jeśli i s t n i e j e właściwa ścieżka.

Jeśli się jej wydaje, że mnie tym sprowokuje, to nie jest tak bystra, jak myślałam. Posyłam jej niewinny uśmiech:

– Będiesz musiała poczekać, aż sama się przekonasz.

Piorunuje mnie spojrzeniem.

– To ci sprawia przyjemność, prawda? Ekscytuje cię pławienie się we własnych tajemnicach. Jesteś tak samo zła jak Séphine.

Tłumię wzdrygnięcie na dźwięk imienia kobiety, której służyłam przez wiele obrotów i mrugam po prostu łagodnie

do dziewczyny, zostawiając resztę ciszy. Milczenie otwiera większość ludzi, jeśli się nad nim odpowiednio panuje. Zdążyłam się już przekonać, że u niej wywołuje świerzbień skóry.

– To znaczy tajemnicza jak Sephine... a przynajmniej tajemnicza jak... – Dziewczyna uświadamia sobie, że zaczyna być prostytutką. Odwraca wzrok, a ja myślę, że to załatwi sprawę. Jednak już chwilę później dociera do mnie jej niesiony wiatrem szept: – Kim ty właściwie jesteś?

– Jeżeli chciałabyś porozmawiać o czymś innym niż ontologiczne zawłóści egzystencjalnej filozofii epoki Wielkiego Rozkwitu, to musisz zadawać bardziej precyzyjne pytania, kwiatuszku.

– Zacznijmy od tego, czy tak naprawdę jesteś Luz, czy Zakkurusem.

Wpatruję się w nią, ale tym razem w jej oczach nie widzę złośliwości, a ton jej głosu był rzeczowy. To szczere pytanie, nie chodzi o drażnienie się.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogę być obojgiem? Jestem Luz, kiedy jestem Luz. Jako naczelnemu perfumiarzowi Aphorai łatwiej było mi się wyróżnić za pomocą rodzowego nazwiska.

– Ale Zakkurus jest... on jest... – Ma na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

Powoli wzruszam ramionami.

– Chcesz znać słowa, którymi mogłabyś się do mnie zwracać. Dla wielu osób Zakkurus to on, ale tak naprawdę... Ona, on, oni – dobrze się czuję z tą płynnością. A w oczach boskiego Asmudtaga oboje są po prostu częściami całości.

Dziewczyna zastanawia się nad moimi słowami i kiwa głową. Jakby to było to.

To dobrze, biorąc pod uwagę drogę, która nas czeka.



Podążamy na północ. Wciąż na północ.

Drugiego dnia po przekroczeniu granicy teren zaczyna się wznosić. Normalnie nie obrałabym drogi przez góry już na tym etapie podróży, łatwiejszy szlak prowadzi przez pyliste równiny aż do miejsca, gdzie góry zaczynają się ciągnąć ku zachodowi, zmuszając do wspinaczki albo wycofania się. Taka prosta trasa nie jest ryzykowna, kiedy idę sama. Samotnemu podróżnikowi łatwiej zatrzeć ślady i znaleźć kryjówkę. Ale grupa tej wielkości to coś zupełnie innego.

W instrukcjach, jakie dostałam, nie wspomniano nic o szybkości, dlatego lepiej będzie wybrać trudniejszą drogę, gdzie nie ma żywego ducha.

Zakon musi po prostu być cierpliwy.

Nie jestem zaskoczona faktem, że na nikogo się nie natknęliśmy. Nikt, kto nie znałby naszego celu podróży, nie miałby powodu, żeby się tutaj zapuszczać. Nikt tu nie przychodzi, bo prawie niczego tu nie ma. W związku z tym nie ma tu też nic i dla argusów.

Potencjalnie ziemia kryje tu cenne metale – jest pokryta pasami anemicznej zieleni i bladej szarości. Wydobycie ich jednak byłoby poważnym przedsięwzięciem. Żadna ochrona karawan przy zdrowych zmysłach nie zgodziłaby się na mniej niż trzykrotne wynagrodzenie, jakie jest gwarantowane na ziemiach cesarstwa. Po prostu nie warto tworzyć linii zaopatrzenia na tym szlaku, dzięki Przedwiecznemu.

Wspinamy się po zboczach, na których nic nie rośnie. Nawet odporne bożodajnie, które bujnie się krzewią w Aphorai mimo braku wilgoci, tu nie chcą zapuszczać korzeni. Brak flory oznacza wzbijanie tumanów pyłu przy każdym kroku kucy. Duszące chmury kłębią się wokół nas za każdym razem, gdy wiatr przypomina nam o swoim istnieniu. Kiedy robimy

obóz, twarze moich ładunków są pobrudzone smugami zielonoszarej mazi, która powstała z brudu i potu, i należy uczciwie stwierdzić, że wszyscy strasznie cuchniemy.

Jest południe następnego dnia, kiedy docieramy do górskiego pasma. Nos mnie swędzi. Inny zapach poza naszym ostrym smrodem zaczął wić się przez pusty krajobraz.

Nadszedł czas. Zatrzymuję nas uniesieniem dłoni.

Jakby po namyśle wielki aphorański gwardzista wyciąga w stronę dziewczyny bukłak z wodą. Ona zbywa go machnięciem ręki.

– Pij – mówi Aphorańczyk.

Dziewczyna wzdycha i przystawia końcówkę bukłaka do ust.

Wyciągam z sakwy kilka kawałków tkaniny.

– Złóżcie je na trzy, a potem obwiążcie nimi usta i nosy.

Upewnijcie się, że węzły są mocne, a materiał ściśle przylega.

Jak było do przewidzenia, dziewczyna opiera dłonie na biodrach.

– Bo inaczej?

– Bo inaczej przekonasz się, przed czym próbuję was ochronić. Sama zdecyduj, kwiatuszku.

Rozdaję płachetki materiału. Losańska Tarcza piorunuje spojrzeniem kawałek tkaniny, ale robi, o co proszę. Świetnie. Może i jest krnąbrna, ale nie jest głupia.

Kiedy wszyscy mają już założone maski, sama obwiązuję twarz, potem prowadzę ich granią.

Zazwyczaj przywiązuję każdy ładunek, który transportuję tą drogą, ale Mistrzynie chciała czegoś więcej niż bezpiecznego dostarczenia ich do świątyni. Zależy jej na tym towarze bardziej niż na cennym dahkai: to informacje. Czyli finezja jest tu ważniejsza niż siła.

Podaję księciu parę grubych skórzanych kajdanek.

– Proszę je założyć, mój księżę.

Losanka staje między nami.

– Nie ma mowy.

Pozwalam sobie na melodramatyczne westchnienie.

– Pik, prawda? – Wiem na pewno, że nie tak ma na imię.

– Kip – warczy.

– Mnie, Kip. Chcę, żeby mnie nimi skuł. Chyba że wolisz sama mnie związać. – Puszczam do niej oko.

Odpowiada piorunującym spojrzeniem.

– Najpierw ładnie poproś.

Wytrzymuję jej spojrzenie. Te prawie czarne oczy są naprawdę bardzo ładne.

Księżę kaszle znacząco.

Posyłam Losance uśmiech i spoglądam za jej solidną posturę, a potem wyciągam rękę z niewielkim zwojem.

– Jeśli zacznę się wobec ciebie dziwnie zachowywać, księżę, musisz mi to pokazać. Mam przeczytać całość i właściwie odpowiedzieć na każde pytanie, jakie mi zadasz, zanim zdejmiesz mi kajdanki. Jeśli nadal nie przekonam cię do mojej przytomności, musisz mnie znokautować. W przeciwnym razie będę niebezpieczna dla ciebie.

– Że co? – Mruga wielkimi, brązowymi oczami

– Następna dolina to jedyne w promieniu setek kilometrów dające się pokonać przejście do naszego celu. Krzewią się tam bujnie mrzonkowe pnącza. Wiesz, ich liście żują ludzi, którzy chcą zapomnieć, tak? Wdychanie zapachu ich kwiatów albo oparów z ich soku jest jeszcze skuteczniejsze. Zbyt skuteczne. Może poważnie namieszać w głowie. Załóżmy na przykład, że stanę się podejrzliwa w stosunku do innych bez żadnego powodu i wydarzy się coś nieprzewidzianego, a dolina mnie omami tak, że przestanę być sobą. Nie chciałabym zrobić wtedy czegoś, czego potem będę żałować. Kiedy znajdziemy się ponad poziomem chmur, będzie można je bezpiecznie zdjąć.

Księżę wyciąga rękę. Czyżbym widziała, że drży? Bardzo nieznacznie? Doskonale. Musi zachować czujność. Cień wątpliwości chroni przed pychą.

Obdarzam go kolejnym uśmiechem, tym razem dodającym otuchy.

– Nigdy bym cię nie skrzywdziła, mój książę. Pamięć krótkotrwała pierwsza ulega mrzonkowym pnączom, a ciebie znam przez większość moich obrotów. Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o pozostałych członkach naszej grupki. Nawet jeśli moje motto to dawanie każdej duszy jednej szansy.

Losanka prycha ze złością i spluwa na ziemię.

– Paskudny nawyk – mówię.

Krzyżuje ramiona na piersi.

– To ja już tę szansę straciłam.

Nie porusza się, ale jest w jej oczach coś, co mnie niepokoi. Zdegradowana arguska czy nie, Losanka potrafi nad sobą zapanować i jest na to gotowa. Spodziewam się, że poradziłabym sobie z nią, gdyby stała się problemem, ale być może trzeba się będzie przy tym zmęczyć. A tak strasznie nie lubię się pocić.

Jesteśmy niecały kilometr w głębi doliny, pnącza spuszcza ją się ze skalnych ścian, ich splątane wąsy wiją się po ziemi, kiedy dziewczyna zaczyna kaszleć pod maską z tkaniny. Sięga do niej.

– Nie ruszaj jej. – Mój głos rozchodzi się echem, aż pochłania go pełzająca roślinność.

Jej spojrzenie przenosi się na aphorańskiego gwardzistę pałacowego.

– Bar, gdzie jesteśmy? Kim są ci ludzie?

Dzięki łasce Przedwiecznego, wiedziałam, że była wrażliwa. Ale tak szybko? I tak mocno? Ona naprawdę jest córką swojej matki. Niestety, poza nim nikogo już nie rozpoznaje.

Ściąga lejce konia – bardzo nietypowy ruch – i kieruje łeb kobyły w stronę, skąd przyszliśmy. Robi ostrożny obrót, przy czym miażdży jeszcze więcej mrzonkowych pnączy, których biały sok rozbryzguje się na kopytach.

– Rakeł. – Głos aphorańskiego gwardzisty tłumi maska. – Zaczekaj.

– Nie. Chyba że mi powiesz, co się tu dzieje. – Zsuwa się z konia i zrywa maskę z twarzy. Zaczyna się cofać, w oczach ma dzikość, jakby miała się obrócić na pięcie i rzucić do biegu w następnej sekundzie.

– Chłopcze. – Mój głos brzmi ostro, mimo że maska zakrywa mi twarz. – Nadeszła pora, żebyś zapracował na swoje utrzymanie. Bądź bohaterem i przyprowadź swoją przyjaciółkę, dobrze?

Dziewczyna robi kolejny krok do tyłu. Trzy następne.

– Chyba nie będziesz słuchał poleceń od nieznajomej, prawda?

Gwardzista patrzy na mnie, potem na nią, jego zwykle przystojna – niestety trochę szczeniacka – twarz zdradza niepewność. Mężczyzna przełyka głośno ślinę.

– Czy to absolutnie konieczne?

Mogłabym umrzeć z nudów.

– Nie proszę, żebyś narysował mapę nieba, chłopcze. Podnieś ją i przywiąż do konia.

Teraz on unosi ramiona do góry.

– Ja nie... ja nie mogę... Nie rozumiesz. Mamy wspólną przeszłość.

– Rozumiem więcej, niż ci się wydaje.

Ale ten wielki gamoń po prostu stoi, ogłupiały jak zaspane niemowlę.

Wtedy Losanka wychodzi przed niego. Robi kilka długich kroków, sięga do dziewczyny, unosi ją nad ziemię, przerzuca sobie przez ramię bezceremonialnie, jakby to był worek jęczmienia.

Dama, która załatwia sprawę. Wybornie.

– Hej! – piszczy dziewczyna. – Zabierz ode mnie swoje brudne łapska!

– Spójrz tutaj. – Trzymam w górze fiolkę z liliową cieczą. – Rzucę ci ją.

Losanka chwyta ją w powietrzu wolną ręką i patrzy na aphoraiskiego gwardzistę.

– Masz chociaż tyle odwagi, żeby przytrzymać konia? – pyta.

Kobyła jest narowista, zmusza go, by podbiegł, jeśli chce chwycić uzdę. Szamocze się, przebiera kopytami w miejscu. Jedno z nich wzbija w powietrze jeszcze więcej zjadliwego soku mrzonkowego pnącza.

– Spokojnie, dziewczynko, to dla jej dobra.

Myślę, że bestia ma więcej rozumu od nich wszystkich, bo uspokaja się na tyle, że Losanka przerzuca dziewczynę przez siodło.

– Otwórz fiolkę i pomachaj nią pod jej nosem, żeby wciągnęła zapach kilka razy.

Robi, o co proszę. Szybka. Skuteczna. Zaczynam ją lubić, mimo jej szorstkiego obejścia.

– Nie przestawaj – mówię. – Zaraz zadziała.

Jak się spodziewałam, rozmarzony wyraz pojawia się na twarzy dziewczyny.

Pozwalam sobie na szyderczy uśmiezek. Nawet nie musiałam zdejmować kajdanek.

Kiedy dziewczyna jest uspokojona, Losanka zatyka fiolkę. Patrzy nieufnie na mrzonkowe pnącza.

– Co się stanie, jeśli ktoś się tutaj zgubi?

– Będzie błędził, aż do wycieńczenia. I wielu tak skończyło.

– A potem?

– Widzisz, co masz pod stopami. Skała i niewiele więcej. Jak myślisz, skąd pnącza czerpią składniki odżywcze, żeby przetrwać?

Po raz pierwszy widzę, jak jej onieśmielająca postać się wzdryga.



Potrafię rozpoznać smutek, kiedy go widzę.

Powrót wspomnień dziewczyny wydaje się wyjątkowo okrutny. Przypomina sobie sekwencje od najstarszych do najnowszych. Na początku patrzy podejrzliwie na nas wszystkich poza Aphoraiczkiem. A potem odpręża się, gdy widzi księcia. I zaczyna mówić z ożywieniem o Tarczy księcia, pyta, gdzie był, dlaczego nie ma go z nami.

Wszyscy robią wrażenie poruszonych. Równie dobrze to ja mogę być osobą, która powie jej prawdę. To przecież niczego nie zmieni. Okrutniejsze byłoby czekanie, aż w końcu sama zda sobie z tego sprawę.

– On nie żyje – mówię. Nie ma sensu ujmować inaczej. Nawet najbieglejszy perfumiarz nie da rady ze żrących składników przygotować łagodzącego balsamu. – Umarł w pałacu.

Mruży oczy, patrząc na mnie, tak jak zawsze to robiła, kiedy usiłowała domyślić się, kim jestem i czy może mi zaufać.

– Nie wierzę ci – mówi.

Słońce zachodzi, dziewczyna wierci się w siodle i krzyczy przejmująco.

Te r a z sobie przypomniwała.

I z tego, co mogę powiedzieć, to cios, który ostatecznie ją łamie.

Jedzie w ciszy pośrodku naszej grupki. W milczącej zgodzie wszyscy ustawili się dookoła niej, jakby z obawy, że w każdej chwili znowu będzie chciała uciekać. Chcę im powiedzieć, żeby się tym nie przejmowali – wszyscy widzą przecież, że jej płomień zgasł. Ale skoro ich troska pomaga jakoś przetrwać ten czas, niech i tak będzie.

Pachnący bursztynem Aphoraiczek jedzie obok niej. Narzucił jej koc na ramiona, kiedy chłód przeszedł w górski ziąb. Co jakiś czas podejżdża do niej bliżej i poprawia okrycie.

Ona najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy.

Albo nic ją to nie obchodzi.

Oba księżycy wschodzą wcześniej i oświetlają drogę, dlatego jedziemy także przez część nocy. Pogoda nam nie sprzyja, czyste niebo sprowadza dojmujące zimno, a wiatr uniemożliwia rozmowy. To dobrze, bo muszę pomyśleć. Cokolwiek Zakon mi zleci po bezpiecznym dostarczeniu księcia, muszę być gotowa. O krok naprzód. Zawsze co najmniej jeden krok do przodu. Na tym polegał błąd Sephine. Za mocno skupiała się na teraz, podczas gdy inni gracze swobodnie knuli za jej plecami.

Tuż przed północą rozbijamy obóz we wgłębieniu między skalistymi wzniesieniami. Losanka zabiera się do rozpalenia ogniska, dobrze osłoniętego na ziemi. Oby jednak góry nie miały oczu. Aphoraiczek pomaga mi przy wierzchowcach – zwykle robiła to dziewczyna, ale od chwili zejścia z siodła nawet nie drgnęła. Książę musi być porządnie głodny – po raz pierwszy wydziela racje suszonych owoców, mięsa i pieczonych orzechów, nie czekając, aż zostanie obsłużony.

Jemy w milczeniu, a potem usuwamy kamyki spod naszych posłań. Dziewczyna owija się w koc i kładzie odwrócona twarzą od ognia. Inni próbują z nią rozmawiać, ale nie mogą się do niej przebić, nie wtedy, kiedy jest taka smutna.

Moje słowa jako ostatnie mogłyby przynieść jej ulgę, dlatego patrzę i czekam, aż każdy znajdzie się na swoim posłaniu. Nie zadają mi już, jak każdej nocy, pytań o to, dokąd zmierzamy i jak długo to potrwa, jest zbyt zimno na ciekawość i są zbyt zmęczeni.

Kiedy w ognisku zaczyna brakować paliwa, wydaję torby żałobne kadzidełko i ostatnie kostki torfu. Musimy jutro dotrzeć na miejsce. Następna noc będzie bardzo zimna.

Tylko Losanka porusza się na posłaniu, kiedy poprawiam rozżarzone węgle tak, by jak najwolniej się paliły. Otwiera jedno oko.

Poza nią nikt nie widzi, jak kładę żałobne kadzidełko obok twarzy dziewczyny.

Rozdział 2

RAKEL

Budzi mnie ból pleców.

Musiałam przez całą noc leżeć zwinięta w ciasną kulkę. Pamiętam, że zasypiałam i budziłam się, nogi miałam zdrętwiałe z zimna, pamiętam zapach cyprysu i... czegoś jeszcze. Przyśięgłabym, że to majeranek, używany na drugim etapie żałoby, gdy czci się pamięć tych, którzy odeszli do nieba.

Otwieram oczy. To nie moja wyobraźnia. Cienka pałeczka żałobnego kadzidełka leży niedaleko mojego nosa. Z rodzaju tych drogich. Bogata w zapach.

Nie jestem głupia. Wiem, że to sygnał, by się pozbierać. Zacząć iść naprzód. „Wspomnienia to ostrza, a utrata sprawia, że się nie tępią” – tak kiedyś powiedział Ash. Strata kogoś, kogo się kocha, jest wystarczająco bolesna, strata dwukrotna to specjalny rodzaj okrucieństwa. Po incydencie z mrzonkowymi pnączami, jakaś część mnie chce tu zostać i czekać, aż cała odrętwieję z zimna. Może ktoś to zauważył.

Barden i Kip przygotowują kuce na kolejny dzień wspina się coraz wyżej na te przeklęte góry. Poza tym Nisai siedzi na skraju obozowiska i pali kadzidełka modlitewne. Mija trochę czasu, zanim ich zapach do mnie dociera. Im jest zimniej, tym mniej mogę polegać na swoim nosie. Ach. Jest. Taki sam

jak kadzidelko w moim ręku. To miłe z jego strony, że myśli o mnie, choć sam jest w żałobie.

Teraz rozumiem, dlaczego Ash był wobec niego lojalny. Zatem i ja też będę wierna. Jeśli ta świątynia, o której mówi Luz, okaże się godna swojej nazwy, to wiem, że Ash chciałby, żebym szła, aż tam dotrę. Dopóki książę nie będzie bezpieczny.

„Przebrnąć”, powiedziała, biorąc mnie za rękę. „Najlepszym sposobem, by wydostać się z tego bagna, jest przez nie przebrnąć”.

Wsiadamy na wierzchowce i wyruszamy, zaczynając kolejny dzień niedoli. Wabi nas linia śniegu nad nami. Nigdy wcześniej nie byłam tak blisko śniegu. Nawet gdy byliśmy z Ashem w górach Hagmiru, aż duszących od grubego baldachimu roślinności, nigdy nie wspięliśmy się tak wysoko jak my teraz po tych nagich skałach.

Formacje skalne tutaj bardzo się różnią od aphorańskiego krajobrazu. Otaczają nas szare kamienie, tworzące pionowe szczyty, które bodą niebo. Sterczą pod każdym możliwym kątem niczym ostre skalne czerepy, tak różne od piaskowca nizin, któremu pogoda wygładza każdą ostrą krawędź. Świątynia w mieście Aphorai była najwyższym szczytem w moim świecie. Przy tych szczytach wyglądałaby jak mrowisko.

Powinam być podekscytowana. Zaciekawiona. Nie tylko świątynią. Również znacznie głębszą tajemnicą.

Moją matką.

Kilka godzin, które spędziłam w rodzinnej wiosce, zanim wyruszyliśmy w tę podróż, miało być radosne. Zamiast tego miałam wrażenie, jakby ziemia zatrzęsa się pod moimi stopami. Powinam być zadowolona, że ona żyje. Ciężar, który zawsze dźwigałam, świadomość, że żyję kosztem innego życia, został ze mnie zdjęty. Ale zastąpiła go ziejąca pustka. Uczucie, że jestem niechciana. Porzucona.

„Pozwoliłem ci żyć w cieniu kłamstwa”, próbował mi to wyjaśnić ojciec. „I zawsze będę tego żałował. Chciałem, żebyś

była bezpieczna. Chciałem, żebyś miała własne życie. Kiedy mi powiedziała, że odchodzi zaraz po twoich narodzinach i że tam, dokąd się wybiera, nie może nas zabrać ze sobą, że zabroniono jej zabrać cię...”

W głowie mi się zakręciło. Nie musiała odchodzić? Nikt jej nie zmuszał?

Ojciec wyglądał na bezradnego, jakby usiłował znaleźć równowagę pomiędzy winą i wybaczeniem. „Yaita była zmuszona do odejścia. Nie znam wszystkich powodów, ale wiem, że ponad wszystko chciała poświęcić się jakiejś wyższej idei. Strażniczka Zapachów dopilnowała, żeby rozniosło się, że umarła na gorączkę popołogową i dzięki łasce Sephine twoja matka zachowała honor kapłanki i została odesłana do nieba. Byłem pewny, że oprócz niej tylko ja wiedziałem, że ciało złożone na stosie pogrzebowym nie należało do twojej matki. Powiedziano mi, że jeśli wiedza o tym ujrzy światło dzienne, mnie – i tobie – będzie groziło niebezpieczeństwo”.

Tu i teraz zamarzający deszcz zaczyna kłuć mnie w twarz. Ledwie widzę na dwie długości konia przed sobą.

Odrętwienie powraca razem z zimnem.

Wędrujemy nieskończenie długo. Ja uciekałam przez wieczność i po co? Po więcej tajemnic. Więcej kłamstw. Odpowiedzi, które wiele księżyców temu tak bardzo chciałam poznać, pod koniec tej podróży nie wydają mi się już istotne. Wszystko zdaje się ponure. Szare. Daremne.

Koń stawia jedną nogę przed drugą. Nie przestaje iść. Siedzę prosto, ale to nie oznacza, że wszystko ze mną jest w porządku.

Barden jedzie obok. Celuje w obserwowaniu mnie, niczym jastrzęb, ale jest zbyt niezdarny, żebym tego nie zauważyła. To, że mam tu przyjaciela, powinno być dla mnie pociechą. Ale nic nie czuję. Tak jak ten krajobraz – skały, śnieg i żadnych oznak życia – jestem pusta w środku.

Zimne dni i mroźne noce zlewają się w jedno zamrożone piekło. Jedyna różnica polega na tym, że jesteśmy coraz wyżej, a śnieg staje się bardziej zbity. Wkrótce jesteśmy zmuszeni zsiąść z wierzchowców, by przejść przez całe połacie lodu. Przy każdym kroku możemy się poślizgnąć. Zwykle pewnie stawiające kopyta kuce teraz ostrożnie wyszukują oparcia dla nóg.

Nie mam pojęcia, jak długo idziemy i wspinamy się coraz wyżej, kiedy Luz zatrzymuje nas uniesieniem ręki.

Znajdujemy się zaledwie kilka kroków od skraju urwiska. Wiatr szarpie połami mojej peleryny, wpija mi ostre pazury w głowę pokrytą krótkimi włosami. Nawet nie próbuję mu przeszkadzać.

Luz stoi nad przepaścią, jakby nic sobie z tego nie robiła, patrzy w dół za kamieniem, który wrzuciła w otchłań, tak głęboką, że przy niej kaniony w pobliżu mojej wioski wyglądają jak zagniczenia na tkaninie. Dno jest zasnutie niebieską, skłębioną mgłą. Na smród i fetor, nie mogę dojrzeć, co jest pod nią, choć niewyraźne widzenie od czasu uzdrowienia Nisaia, zaczęło mi przechodzić. A może po prostu nauczyłam się z tym żyć.

Ścieżka przed nami znika. Istnieje tylko wąska półka skalna, z trudem mieszcząca jednego kuca. Nigdy wcześniej nie było tak jasne, dlaczego kupiła górskie kuce.

Teraz omiata nas wzrokiem.

– Pojedynczo, moi drodzy. Prowadźcie zwierzęta. A jeśli macie lęk wysokości, ukryjcie go. Kuce natychmiast wyczują wasz strach i będzie przerażał je bardziej niż sama wysokość.

To pewnie najprawdziwsze słowa, jakie słyszałam z jej ust. Gładzę Lil po szyi.

– Nic nam nie będzie, prawda, mała?

Klacz stoi nieruchomo. Gotowa. Ciepła i żywa. Nie mogę tego powiedzieć o sobie.

– Losanko, poprowadzisz?

Kip kiwa głową. Nawet nie mrugnęła okiem, słysząc tę po-
ufałość. Jako pierwsza przyzwyczała się do przezwiska, które
Luz jej nadała.

– Potem nasz ksiązę, a za nim Lord Bursztyn.

Barden się krzywi. Inni nadal nie przywykli do nowych
przydomków.

– Potem ty i twoja Nocna Zjawa, kwiatuszku.

Nie zawracam sobie głowy poprawianiem jej, jak Lil na-
prawdę się nazywa.

– A ja będę zamykała tyły.

Prycham drwiąco, mój oddech kłębi się przez chwilę, ale
wiatr zaraz go rozwiewa.

– Żeby jedno z nas sprawdziło, gdzie jest najniebezpiecz-
niejsze miejsce?

– Będę mogła wrócić i przeprowadzić kuca księcia. I tylko ja
będę musiała przechodzić tamtędy trzy razy.

Och.

– Ale miło słyszeć, że odzyskujesz powoli jadowitość. Bra-
kowało mi oparów octu. – Ostatnie słowa wypowiada z tym
swoim irytującym mrugnięciem oka.

Ustawiamy się gęsiego, pozostali prowadzą kuce, ja Lil.

Kip rusza naprzód, powoli, ale pewnie. Nisai idzie za nią,
sprawdza lód końcem każdej z kul, zanim w pełni się na nich
oprze. Zastanawiam się czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś go
niósł. Z drugiej strony, czy sama bym chciała, żeby ktoś miał
aż taką kontrolę nad moim losem?

Niemal w połowie drogi, jedna z kul się ślizga.

Zasysam powietrze przez zęby.

W chwilę potem Barden staje obok Nisaia, silnym ramie-
niem pomaga mu odzyskać równowagę, drugim trzyma pode-
nerwowanego kuca na bezpieczną odległość. Ksiązę bierze się
w karby i ponownie skupia uwagę na ścieżce.

Moja kolej.

Półka z pewnej odległości wygląda na wąską. Z bliska wydaje się jeszcze bardziej ciasna. Ledwie może nas pomieścić. Lil ociera bokiem o skałę. Patrzę za siebie i zauważam, że strzemień wisi w powietrzu.

– Patrz przed siebie, kwiatuszku! – woła Luz.

I ten jeden raz zgadzam się z nią z całego serca.

Przemieszczam się, krok za krokiem.

Niedaleko miejsca, gdzie Nisai się poślizgnął, coś nieoczekiwanego dociera do mojego nosa. Jestem pewna, że poczułabym to wcześniej, ale mroźne powietrze wszystko zaburza.

Tam. Bestia niczym przerośnięty lew bez pierzastej grzywy skrada się po przeciwnej stronie wąwozu. Ma śnieżnobiałą sierść, która niemal zupełnie maskuje ją na tle śniegu, poza miejscami, gdzie jest pomazana krwią. Chyba niedawno się pożywiała. Mam nadzieję, że nie ma ochoty na następny posiłek.

– Spokojnie – mamroczę do Lil bez oglądania się za siebie i modłę w duchu, żeby jej nie zauważyła.

Robimy następny krok. A potem Lil prychnęła, przestępuje z kopyta na kopyto na półce, zrzucając w przepaść kawałek lodu.

– Nie mogę cię puścić – mówię do niej.

Ale to drapieżnik, a ona jest potencjalną ofiarą, w powietrzu wisi zapach śmierci. Nie mogę tu utknąć z klaczą, która wpada w panikę. Nigdy z własnej woli mnie nie skrzywdziła, jednak instynkt to potężne narzędzie.

Patrzę na Bardena. On już przeszedł. Z powrotem na solidnym gruncie księżę wzdycha z ulgą wypuszczając z ust kłęby pary.

Droga wolna. Robię kolejny krok i przywieram do niewielkiego wgłębienia w skale.

– Chodź! – rozkazuję.

Waha się, a potem jej panika mija.

Zerkam do tyłu na Luz. Jej kuc nerwowo prychnęła, poza tym wszystko wydaje się w porządku. A kiedy patrzę w miejsce,

gdzie przed chwilą był wielki kot, nie widzę nic poza tumanami śniegu.

Przy moim obecnym stanie wzroku, pomyślałabym, że mi się przywidziało, gdyby nie wystraszona Lil.

– Nie zatrzymuj się – nakazuje Luz. – Prawdopodobnie wraca do legowiska, ale jakoś nie wyrywam się do sprawdzania tej teorii.

Wciążam głęboko powietrze, wydecham je i robię następny krok. Przemieszczam się tak wolno i tak ostrożnie, że w takim samym stopniu czuję, jak słyszę, kiedy lód trzeszczy. Próbuję przesunąć ciężar ciała, ale obsuwam się. Wykręcam ciało, lecz noga wyslizguje się spode mnie. Wtedy upadam na twarz i ocieram sobie brodę, głośno dysząc.

Nagle zaszokowana uświadamiam sobie, że nogi zwisają mi nad przepaścią.

– Rakel!

Głos Bardena. Dochodzi mnie z drugiej strony przejścia i odbija echem od skał. Bar jest za daleko, żeby podać mi rękę.

Gwałtownie macam dłońią przed sobą. Ale nie ma tam niczego, czego mogłabym się chwycić, za co podciągnąć. Zsuwam się powoli z pokrytej śliskim lodem skały. Zsuwam ku mojemu końcowi.

W moim odrętwiałym umyśle pojawia się pytanie, czy to byłoby rzeczywiście źle. Musimy być już blisko świątyni. Nisai jest bezpieczny po drugiej stronie ścieżki.

Upadek stąd pewnie przypomina lot. A później będzie po wszystkim.

Żadnego zimna. Żadnej pustki.

Żadnych niekończących się dróg.

Żadnego żalu.

Po prostu nic.

Lecz potem długie palce owijają się wokół mojego nadgarstka, niebieskie oczy wpatrują się we mnie.

– Nawet o tym nie myśl, kwiatuszku.

Z siłą, której nie spodziewałabym się przy niewielkiej posturze, Luz wciąga mnie z powrotem na półkę.

– Mam polecenie dostarczenia cię do celu naszej podróży. I wołałabym, żebyś nie była wtedy workiem zamrożonej brei zeszkrobanej z dna wąwozu. W porządku. Coś złamałaś?

Siniaki bez wątpienia pojawiają się na żebrach, ramię boli mnie od wciągania przez Luz. Ugryzłam się w język, kiedy uderzyłam o lód – czuję metaliczny smak w ustach – a otarta broda piecze mnie na mroźnym powietrzu.

– Parę zadrapań, to wszystko.

– Świetnie. A teraz zapomnijmy o tym nieprzyjemnym incydencie, dobrze?

Wpatruję się w nią pustym wzrokiem.

– Ty pierwsza – nalega, wskazując ścieżkę przed nami.

Po drugiej stronie Kip kiwa do mnie głową.

Nisai omiata mnie łagodnym spojrzeniem.

– Nic ci nie jest?

Barden przepycha się przed nich i obejmuje mnie ramionami.

– Na gwiazdy, Rakel. Już się bałem, że cię straciłem.

Zmuszam się do czegoś w rodzaju uśmiechu.

Udało mi się.



Jest późne popołudnie, gdy docieramy na szczyt górskiego pasma.

Luz wzdycha z satysfakcją.

– Mam dobre wieści, obdartusy. Stąd droga prowadzi już tylko w dół.

Patrzę przed siebie. Zbocze opada w dół to pewne, ale poza tym nie ma tam nic szczególnego. Wszystko poniżej nas kryją grube szare chmury.

Ruszamy w ich kierunku, powietrze staje się coraz wilgotniejsze, jakby malusieńkie krople deszczu zawisły w połowie drogi do ziemi. A potem mgła się rozwiewa albo to my ją rozgarniamy.

Od przełęczы prowadzimy wierzchowce. A teraz Barden przystaje tak gwałtownie, że niemal wpadam na zadek jego kuca.

Mrużę oczy, ale widzę jedynie poszarpaną skałę, lód, śnieg i niebo szare jak dym.

– O co chodzi, Bar?

– Tam. – Ugina kolana, aż zrównuje się twarzą ze mną i pokazuje niemal równo przed siebie. – Tam poniżej. Dolina. – W jego głosie słychać podziw i grozę jednocześnie.

I wtedy to widzę. Znacznie niżej, tak daleko, że nie jestem w stanie dostrzec szczegółów.

Cienka smuga zieleni.

Życie.

Po raz pierwszy od opuszczenia doliny z mrzonkowymi pnączami, czuję coś bliskiego ciekawości. Albo coś jej pokrewnego.

Droga w dół jest najbardziej stromym szklakiem, jakim kiedykolwiek szłam, choć poruszamy się zygzakiem po zboczu. Najpierw zmienia się wiatr. Był naszym stałym kompanem, od kiedy znaleźliśmy się powyżej podnóża pasma, zawodził i napierał na nas. Teraz po zawietrznej stronie ostatniej góry, ucicha.

Potem lód zaczyna topnieć. Skapuje ze skał, czuję się jakbym ponownie wędrowała jaskiniami Trelu, gdzie znaleźliśmy z Ashem kości Azered. Gdzie po raz pierwszy pokazał mi swoją bezbronność, którą świetnie maskował. Od tamtego momentu zaczęliśmy sobie ufać.

Z kieszeni peleryny wyjmuję dwie pałeczki kadzidełka. Cyprys. Pierwsza faza żałoby. Majeranek, druga faza. Gdy wszyscy

minęli mnie na szlaku, kładę delikatnie to cyprysowe na półce skalnej pod ociekającymi soplami lodu. To ofiara. Tak myślę. Może góry zapamiętają Asha, tak jak ja go pamiętam.

Mech jest pierwszą oznaką życia. Potem małe wrzosey. Mijamy ściany skalne, po których spływa woda i jest jej coraz więcej, w niektórych szczelinach tworzy nawet miniaturowe wodospady. To niemal muzyka, chór na płynne głosy. Podsuwam majeranek pod nos i wdycham jego zapach, a jednocześnie przypominam sobie głos Asha. Sposób, w jaki śpiewał w obozie w Edurshai – ciepły jak drewno sandałowe i mroczny jak dym unoszący się ku niebu.

Wkrótce zaczynają się pokazywać krzaki z powykręcanyimi korzeniami, którymi starają się sięgać cienkiej warstwy ziemi zebranej w szczelinach skalnych. A dalej trawa pstrzy ścieżkę. Chłód ustępuje, w powietrzu znowu unoszą się różne zapachy: ziemi pod kopytami Lil, nieśmiałej słodczy kępek małych różowych polnych kwiatów, jakich nigdy wcześniej nie widziałam.

Kwiaty. O górach za Sezonowymi Terytoriami wiem jedynie to, co usłyszałam w opowieściach. A te mówiły o martwym miejscu. Niemającym końca ugorze. Jakby było nieprawdziwe, znajdowało się gdzieś w mitycznej krainie. Na skraju mojej pamięci. Nigdy nie miałam powodu, by w to wątpić. Aż do teraz.

Ściągam z głowy kaptur peleryny i pochylam się, żeby dotknąć płatków.

Luz zjawia się obok mnie. Jej sposób bezgłośnego poruszania się bywa denerwujący.

– To... – Wskazuję kwiaty. – Jak to możliwe?

– Wypiętrzenie terenu jest tak drastycznie różne od otaczających nas gór, że temperatura tu jest przyjemniejsza. I widziałas już główne źródło wody – dopływa tutaj bez przerwy z topniejącego lodu nawet w porze suchej. Dlaczego zatem miałoby to być niemożliwe?

– Opowieści, jakie słyszałam o tych górach... Nie ma w nich nic takiego.

– Wspaniale! Ja i moje towarzyszkę uznajemy to za największy komplement! – Jej wzrok podąża ku szczytom gór nad nami.

Czy to jakiś ruch? Tam. Błysk metalu. Broń? Zbroja?

– Niech zgadnę: nie masz zamiaru nic mi o tym powiedzieć, prawda?

– Mogłabym cię uraczyć ciekawą opowieścią, kwiatuszku. Mam gawędziarstwo we krwi. Ale Mistrzynie zarezerwowała dla siebie prawo do powiedzenia ci wszystkiego. A Mistrzynie dostaje to, czego chce.

Mistrzynie. Zakon. Świątynia. Tak wiele absurdalnych nazw. Zastanawiam się, co moja matka myśli o tym wszystkim. Kiedy ojciec o niej mówił, powiedział, że była pragmatyczna. To właśnie początkowo przyciągało go do niej. Czy z czasem przywykła do tych nonsensów? A może tajemnice i gierki sprawiają jej przyjemność?

Wznawiamy marsz, a ja zaczynam spostrzegać coraz więcej szczegółów. Kształt wykuty w szarym granicie góry tworzy wielką okrągłą strukturę przypominającą koło położone na płask. Zanim jednak zdążyłam dostrzec coś więcej, schodzimy niżej i znika mi z pola widzenia. Wiem jedynie, że pokrywa teren rozleglejszy niż wszystkie budynki, jakie w życiu widziałam, aphoraiskie, ekasyańskie... Przy nim nawet pałac cesarski i kompleks świątynny wydają się małe.

Nisai ma oczy otwarte tak szeroko, że przypomina zdziwione dziecko. Chłopca zdjętego grozą i podziwem na widok czegoś wspaniałego. Nigdy nie myślałam, że zobaczę księcia, który przecież widział wiele, tak zaskoczonego.

W końcu stajemy pod pustą ścianą, która sięga trzech, czterech, a może nawet pięciu pięter w górę.

– Stać! – woła jakiś głos, prawdopodobnie wartowniczkę, dochodzący z niewielkiego otworu w ścianie.

Luz wdycha.

– Chyba tak naprawdę nie zamierzasz urządzać nam tej błazenady. Czy dobrze myślę?

Strażniczka, kobieta o groźnym wyglądzie i kwadratowej szczęce, gęstych brwiach i włosach szarych jak otaczające nas skały, wychyla się i piorunuje nas wzrokiem.

– Dobrze, już dobrze – mówi Luz. – Witaj, Kamienny Liściu. Szukam wejścia do Świątyni Pierwotnej Boskości. Jestem w trakcie misji usankcjonowanej przez Śnieżny Cierń.

Strażniczka kiwa głową, najwyraźniej usatysfakcjonowana.

– Zaczekajcie tam, gdzie jesteście. Zaraz dostaniecie eskortę.

– Sama sobie poradzę. Otwórz jedynie bramę.

– Zasady to zasady, Piaskowy Kwiecie.

Prycham śmiechem trochę wbrew własnej woli. Jakby Śnieżny Cierń i Kamienny Liść nie brzmiały wystarczająco absurdalnie. Piaskowy Kwiat?

– Niefortunny ceremonialny język. – Luz krzywi się.

– Brzmi, jakby ktoś wypuścił dym tyłkiem.

Luz posyła mi ironiczny uśmiezek. A ja odruchowo odpowiadam tym samym. Po raz pierwszy.

Jakieś zgrzytanie rozlega się w głębi skały. A potem na kamieniu pojawia się pionowa linia. Linia staje się szparą i wkrótce dwa wielkie kamienne bloki przesuwają się do tyłu niczym suwana brama.

Kiedy się zatrzymują, Nisai występuje naprzód i przesuwa dłoń po nowo odsłoniętej płaszczyźnie.

– Co za fascynujący mechanizm.

– Robi wrażenie, prawda? – mówi Luz beztrząsco, jakby pokazywała nam po prostu nowy dywan.

Pojawia się kobieta nazywana Kamiennym Liściem, a z nią kilka strażniczek, które zaraz nas otaczają. Wśród wartowniczek nie ma mężczyzn, w odróżnieniu od aphorańskiej armii, gdzie z kolei służyło tylko kilka kobiet, albo jak u argusów,

wśród których wyjątkiem była Kip. Wyglądem budzą respekt. Szczupłe. Ich skóra ogorzała od górskiej pogody. Ramiona mają szersze od narzuconych na plecy opończy z szarobiałego futra.

Jesteśmy prowadzeni do środka kamiennej struktury, na dziedziniec otoczony murem. Tam jeszcze więcej strażniczek podchodzi, żeby zabrać nasze wierzchowce. Waham się. Nie jestem przygotowana na to, by przekazywać Lil komukolwiek.

– Dobrze o nią zadbają – mówi Luz.

– Lepiej, żeby tak było. – Patrzę gniewnie, a potem staję na palcach i jednocześnie pociągam lekko za uzdę Lil. Klacz pochyla łeb, więc mogę szeptać jej do ucha. – Jeśli poczujesz jakiś zły zapach, masz moje pozwolenie, żeby gryźć. Tylko nie kop nikogo, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Uderza mnie chrapami.

– Grzeczna mała.

Idziemy dalej długim korytarzem oświetlonym słabym zielonkawym ogniem, który przypomina mi Bibliotekę Zagubionych. Wyłaniamy się w ogromnej okrągłej komnacie, której podłoga opada stromo tarasami ku jej środkowi.

Ściana naprzeciwko drzwi jest zdominowana przez gigantyczny posąg, taki sam, jaki był w Bibliotece. Humanoidalna postać siedząca na masywnym, choć skromnym tronie. Jej rzeźbione rysy nie zdradzają niczego o jej tożsamości. Gładka czaszka i twarz, smukłe kończyny, jedna dłoń uniesiona, druga opuszczona. Bose stopy.

Asmutdag.

Trudno się domyślić, czym jest to miejsce. Rodzajem świątyni? Ogromną salą modlitewną? Sceną dla trup teatralnych?

Na podeście za posągiem czeka kilka osób. Znowu są to same kobiety. Ich szaty są uszyte z tej samej zielonkawej tkaniny, choć nieco różnią się krojem. Kobiety są zupełnie różne. Wysokie, niskie, chude jak patyki i grube. Niektóre stare jak Kronikarze, inne wydają się bezwiewowe jak Sephine.

Czy jedna z nich to moja matka? Rozpoznałabym ją, gdyby tu była?

Luz schodzi po dwa stopnie naraz. Kiedy staje twarzą w twarz z czekającymi kobietami, kłania im się nisko.

Nikt się nie porusza.

Nisai podchwytuje mój wzrok, na jego twarzy maluje się troska. Waham się, a potem daję mu znak ręką, jakbym po prostu wypełniała wymogi protokołu i pokazywała mu, co powinien zrobić. Podłapuje znaczenie mojego gestu i schodzi po schodach. Kip idzie za nim. Za nią Barden i ja.

– Wasza cesarska wysokość – mówi Luz głosem, który przenosi mnie w czasie do testu na perfumiarza w Aphorai; używa tonu, który oczarowywał tłum. – Nisaiu, dziedzicu Aramteshu, chciałabym ci przedstawić przeorysze Zakonu Asmutaga. To nasza Prokuratorka, Administratorka i Preceptorka.

– Ich co? – mamroczę do siebie.

– To oficjalne tytuły ludzi, którzy zajmują się załatwianiem spraw, podpisują załatwione sprawy i uczą, jak załatwiać sprawy. – Usta Nisaia prawie się nie poruszają, kiedy szepcze do mnie.

– Oraz – mówi dalej Luz – obecną Mistrzynie Zakonu.

– Osoba, która mówi, co powinno zostać zrobione – mamrocze Nisai.

Jestem zaskoczona, bo kobieta wyglądająca na najmłodszą wychodzi naprzód i kłania się. Przyglądam się jej rysom. Ręką wędruję do medalionu. Reszta mnie zamarała, nogi wrosły mi w ziemię.

– Witamy, księżę – mówi Mistrzynie wystarczająco głośno, by jej głos dotarł nie tylko do uszu Nisaia, to oczywiste. Domyślałam się, że ona i Luz to perfumy z tych samych składników. – W imieniu przeorysz Zakonu niech mi będzie wolno przedłożyć to wyjątkowe zaproszenie do świątyni.

Wyjątkowe? Nie przypuszczam, żeby miały wielu gości na takiej głuszy. A może ma to coś wspólnego z faktem, że

Barden i Nisai to tutaj jedyni mężczyźni, innych nie widziałam, od kiedy tu weszłam.

– W imieniu boskiego Przedwiecznego – kontynuuje – przysięgaliśmy zadbać o twoje bezpieczeństwo i chronić cię przed tymi, którzy zorganizowali atak na twoją osobę, kimkolwiek by się okazali, tak byś mógł wrócić, objąć swoje dziedzictwo i utrzymać równowagę w cesarstwie, kiedy nadejdzie czas. Gdybyś czegokolwiek potrzebował dla wygody własnej lub twych towarzyszy, powiedz o tym proszę moim ludziom.

Nisai pochyla głowę w geście, który – jak sądzę – jest odpowiednikiem eleganckiego ukłonu, kiedy pochodzi od księcia.

– Wasza gościnność jest doceniana w najwyższym stopniu. Czy mogłabyś mnie zaszczycić podaniem swego imienia?

– Tu jestem znana po prostu jako Śniegowy Cierń. Ale wcześniej nazywano mnie Yaitą.

Strażniczka o kwadratowej szczęce, która przywitała nas przy wejściu do świątyni, chrząka znacząco.

– Nie okłamałabym własnego krewnego, Kamienny Liściu – mówi Yaita.

Strażniczka – jeśli naprawdę nią jest – nie ukrywa swojej dezaprobaty.

Yaita patrzy na mnie i robi krok do przodu, na twarzy ma teraz uśmiech o zniewalającym cieple.

Nie odwzajemniam go.

Kiedyś usiłowałam wyobrazić sobie, co będzie na końcu tej drogi. Ale na coś takiego nie byłam przygotowana. Mam wrażenie, jakbym patrzyła na starszą wersję mojego odbicia w lustrze. Ciemne włosy opadają jej luźnymi pasmami poniżej ramion, tak samo jak moje przed ścięciem. Oczy mają ten sam bursztynowy odcień jak moje i są zbyt szeroko rozstawione. Uderzająca. Tak właśnie wygląda.

Od kiedy byłam małym dzieckiem, lubiłam budzić się w nocy i wyobrażać sobie, że rozmawiam z mamą. W moich

fantazjach zawsze była niewyraźną postacią, rodzajem dobrotliwej osoby. Opowiadałam jej o wszystkim, o swoich lękach, wstydach, nadziejach i marzeniach. Powiedziałam jej, kiedy pierwszy raz udało mi się przeskoczyć wyschnięty strumień na grzbiecie Lil bez spadania z siodła. Powiedziałam jej, kiedy pierwszy raz dostrzegłam zarost na brodzie Bardena, choć bardzo szybko go zgolił. Powiedziałam jej, kiedy pierwszy raz zorientowałam się, że zaczął na mnie inaczej patrzeć – to były spojrzenia, których wtedy nie rozumiałam, przepełnione nadzieją, że któregoś dnia dam mu coś, co pragnie otrzymać. Powiedziałam jej, kiedy pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że ojciec ma Zgniliznę i jak bardzo byłam przerażona tym, co to dla niego oznaczało i, egoistycznie, dla mnie.

Kobieta, która stoi przede mną nie słyszała o żadnej z tych rzeczy szeptanych nocą. Może wydawać mi się niepokojąco znajoma z powodu portretu, który nosiłam na szyi, od kiedy byłam dzieckiem dzielącym się sekretami z ciemnością. Może kiedyś chciała mieć rodzinę. Może i mnie urodziła, dała mi życie.

Każda z tych rzeczy może jej dotyczyć. Ale ta kobieta jest także kimś jeszcze.

Obcą osobą.

– Cóрко – odzywa się niskim głosem.

Nigdy nie wierzyłam, że kiedykolwiek się tu znajdę. A teraz, gdy tu jestem, brak mi słów.

Idzie do przodu, niosąc ze sobą zapach pustynnej róży i dymnego kadzidełka. Delikatnie ujmuję mnie za dłonie.

Wyrrywam ręce.

Marszczy brwi, ale szybko wypogadza czoło.

– To musi być dla ciebie trudne doświadczenie i domyślałam się, że jesteś wyczerpana. Wasze zwierzęta znajdują się w stajni i będą miały opiekę. Każde z was dostanie kwaterę: Przedwieczny wie, że mamy tu dużo miejsca, choć nie zawsze tak było.

Ostatnie słowa sprawiają, że pozostałe członkinie Zakonu zaczynają szeptać między sobą. Dochodzi mnie wśród innych słów fraza: „z Ich łaski”.

– Nasz jadłospis różni się od tego, do którego jesteś przyzwyczajony, mój książę, choć myślę, że sam uznasz naszą kucharkę za mistrzynię równoważenia smaku i wartości odżywczych.

Wśród odzianych w zielonkawę szaty mniszek, kobieta o zarumienionych policzkach, szczupła jak trzcina, prostuje trochę plecy i wyżej unosi brodę.

– Teraz odpocznijcie. Spotkamy się jutro. Piaskowy Kwiat pokaże wam w międzyczasie wszystko, co zechcecie.

Luz robi ten sam elegancki ukłon i zaczyna wchodzić po schodach. Po chwili wahania Nisai rusza za nią, Kip nie odstępował jej na krok. Barden posyła mi spojrzenie, które jest częściowo pytaniem, a częściowo współczuciem.

– Czekać! – Nie mogę w to uwierzyć. – I tyle? Powitani i odprawieni, ot tak?

Mistrzynie powoli i tylko raz kiwa głową.

– Do jutra. – Uśmiecha się ponownie, zanim zaczyna schodzić po drugiej stronie podestu w kierunku drzwi naprzeciwko tych, którymi tu weszliśmy.

Luz zbiega na dół, przeskakując po trzy stopnie. Chwyta mnie ręką za ramię.

Nie ruszam się.

Luz pochyla się tak, że jej usta znajdują się przy moim uchu.

– Lepiej będzie, jeśli twoje nogi przypomną sobie, jak się chodzi, kwiatuś, chyba że chcesz, żebym cię odurzyła i poprosiła twój gwardzistę, by cię stąd wyniósł.

– Nie ośmieliłabyś się.

Na ile znam Luz, domyślam się, że by się ośmieliła. Dlatego pozwałam jej wyprowadzić się z komnaty.

Już na korytarzu puszcza moje ramię.

– Poszło zaskakująco dobrze.

– Nie z mojego punktu widzenia.

– Pozwalam sobie mieć trochę inne zdanie, kwiatuszku. Twoja matka podjęła ryzyko. Skalkulowane, ale ryzyko to ryzyko. Było bardzo prawdopodobne, że natychmiast zwołają Konklawe. Minęłyby całe dni na debatach, czy w ogóle możesz tu zostać. Sądząc jednak po tym, co właśnie widziałyśmy, spodziewam się, że jednak przeorysze pozwolą ci swobodnie się tu poruszać. – Mówi teraz tonem pogaduszki, jakby wszystko było w porządku. – Poza kilkoma wybranymi miejscami.

Pociągam nosem.

– Czujesz to?

Unosi brwi.

– Doszedł mnie wyraźny zapach zaskoczenia. – Opuszcza brwi. – Miło widzieć, że znowu jesteś sobą. Choć, jako że jesteś tu gościem, to oczywiście, że nie będziesz miała zupełnej swobody. Przynajmniej na razie. Tymczasem – mówi, a jej głos staje się mocniejszy, tak by inni mogli ją usłyszeć – jest tu teren treningowy, dostępny dla tych z was, którzy chcieliby utrzymać sprawność fizyczną.

Słyszę, jak za mną Barden i Kip mamrocą coś do siebie.

– Celem zachowania ostrości umysłu – kontynuuje Luz – jest tu archiwum. Nie tak imponujące jak cesarska biblioteka, ale jestem pewna, że znajdziecie interesujące teksty, jakich nie ma w żadnym innym zbiorze.

Nisai miał cały czas łagodny wyraz twarzy, ale teraz gdy Luz wspomniała o bibliotece, oczy mu się zaświeciły. Pamiętam, jak Ash żałował, że książkę, który tam bardzo kocha książki i zwoje, nie mógł zobaczyć z nami Biblioteki Zagubionych.

Każde z nas dostaje pokój z wejściem z korytarza, który tworzy łuk, co sprawia wrażenie, jakby nie miał końca. Kiedy jestem wprowadzana przez grube kamienne drzwi, które jakimś cudem przesuwają gładko rodzaj mechanicznych zawiasów, spodziewam się mroku i chłodu. Ale jest tam okno

z fasetowego szkła, rozdzielającego słoneczne światło na tęczę padającą na ścianę i podłogę, a pokój jest prawie tak duży, jak dom, w którym dorastałam. Powietrze jest przyjemne, przesączone zapachem szałwii muszkatołowej, a kiedy dotykam gładkiego kamienia, czuję, że jest ciepły.

– Przyjemne, prawda? – Luz wskazuje światło. – Lokalizacja kompleksu jest podporządkowana ścieżce słońca i ceniom rzuconym przez otaczające nas góry w miarę obrotów gwiazdowego koła. Teraz, kiedy została nas zaledwie garstka, przenosimy się z kwatery do kwatery w zależności od pory roku. Zimno nie ma czasu, żeby tu wnikać w trakcie nocy, niemniej nocne wychłodzenie gwarantuje, że w ciągu dnia nigdy nie jest za gorąco. Za każdym razem ciągniemy losy, komu przypadnie zwykły pokój, a komu apartament. Dzięki temu nie dochodzi do żadnych... sprzeczek.

– Idealna organizacja – mamroczę.

– Otóż to. – Luz najwidoczniej zgadza się ze mną. – Zostawię cię, żebyś mogła obejrzeć kwaterę. Znajdziesz mnie w pokoju w głębi korytarza.

– Masz nas na oku, tak?

– Jak powiedziała Mistrzynie, możecie zostać, jak długo będziecie chcieli. Radziłabym przyjąć to zaproszenie i zostać tu do czasu, aż się upewnimy, że wasz powrót jest bezpieczny.

– W takim razie jesteście więźniami.

– Oczywiście, że nie. Wyobrażam sobie jednak, że Yaita byłaby rozczarowana, gdybyś postanowiła odejść, zanim się z nią nie zobaczysz.

– Wielbłądzia kupa bardziej mnie obchodzi, niż to, co ona...

– Więc jeśli zdecydujesz się odejść, poprosimy cię o prezucie takiej ilości mrzonkowych pnączy, byś zapomniała, że kiedykolwiek tu byłaś, jeszcze zanim miniesz dolinę. Ja nie lubię ryzykować.

Nawet gdybym podjęła decyzję o odejściu stąd, nigdy nie chciałabym ponownie przez to przechodzić.

Luz wzrusza ramionami i naciska kwadratowy kamień, który zagłębia się w ścianie. Drzwi zamykają się za nią z cichym zgrzytem.

Podchodzę do wypolerowanej granitowej umywalki w rogu pokoju, przy której jest też głęboka wanna. Grube kostki mydła leżą w drewnianym koszyku. Podsuwam jedno pod nos. Limonka i bazylia. Niezwykle zestawienie.

Łóżko nakryto narzutą ozdobioną wyhaftowanym sześciopłatkowym kwiatem. Dahkai. Jest podobny do tych wyrzeźbionych na drzwiach i w kamieniach w mieście Aphorai – tyle że ten jest umieszczony w kole. Kiedy siadam, materac lekko się ugina pod moim ciężarem. Kontrolnie poklepuję poduszkę. Jest wypełniona pierzem. Nasączona zapachami rumianku i lawendy pomagającymi zasnąć. Najwyraźniej Zakon Asmudtaga ceni sobie wygodę.

Będę miała dość czasu na umycie się i wypoczynek. Najpierw chcę się dowiedzieć, co inni myślą o tym wszystkim. Ostrożnie naciskam mechanizm, którego Luz użyła, wychodząc. Drzwi otwierają się cicho.

Już na korytarzu widzę Kip, stoi na straży przy sąsiednich drzwiach.

– Jak on się czuje? – pytam o Nisaia.

Kip krzyżuje ramiona na piersi.

– Jesteś zmęczona po tej całej podróży? – pyta.

– Padam z nóg.

– No to sobie wyobraź, w jakim on jest stanie.

Ma rację. Byłam tak zajęta własną żalobą, że nie sprawdzałam stanu Nisaia tak często, jak powinnam. To jasne, że trucizna nadal utrzymuje się w jego organizmie, choć księżę staje się silniejszy z każdym dniem.

– Wiesz, gdzie jest Barden?

Kip pokazuje ręką w głąb korytarza. Ruszam w tamtym kierunku.

Z uchylonych drzwi wydobywa się smuga światła. Ale to nie pokój Bardena. Należy do Luz, która stoi nad wielkim biurkiem zawalonym zwojami. Gestem daje mi znak, żebym weszła, opada na fotel, bierze jeden zwój ze sterty i podsuwa go sobie pod nos.

– Kwiatuszku, bądź tak miła i podaj mi esencję molsziru. Górna półka, trzeci słoiczek od lewej strony.

Zdejmuję słoiczek z półki, wiem, że dobry, bo poznaję fioletowoczerwony odcień ekstraktu z liści tej rośliny.

Luz zanurza w nim pędzelek i pokrywa zwój cienką warstewką. Jak za pomocą czarów pod pierwotnym tekstem zaczynają się pojawiać słowa – wyblakłe i jaśniejsze.

– Jak to zrobiłaś?

– Moi informatorzy są bardzo nieliczni, ale szanują Zakon. Piszemy informacje, które są zupełnie niewinne, na wypadek gdyby wpadły w niepowołane ręce. Prawdziwa wiadomość jest ukryta pod spodem. Ale jeśli użyjesz nieodpowiedniego odczynnika, zniszczysz ją.

– Skąd wiedziałaś, że ten zwój wymaga akurat molsziru?

Puka się palcem po nosie.

– Zapach jest szyfrem. W zależności od tego, jakimi perfumami zwój jest pokropiony, wymaga odpowiedniego odczynnika. No i kody są regularnie uaktualniane.

Czyta zwój, ale niczym nie zdradza, co może zawierać.

Wyciągam szyję i rumienię się, kiedy widzę, że to spostrzegła.

– Chcesz zobaczyć, kwiatuszku? – Wstaje od biurka i podaje mi zwój.

Biorę go od niej i udaję, że czytam. Luz opiera się o biurko, długie nogi skrzyżowała w kostkach i patrzy na mnie.

Listy są zapisane niezbyt czytelnym charakterem pisma, odczytanie wiadomości to wyzwanie samo w sobie, a co dopiero kiedy dwa teksty zachodzą na siebie. Ale nie dam Luz satysfakcji. Wszyscy tutaj puszą się tak, jakby ich kupa nie śmierdziała.

A Luz jest irytująca jak zawsze, jest niczym piasek w ubraniu – gdy raz się w nim znajdzie, nie sposób pozbyć się go do ostatniego wkurzającego ziarenka.

Więc chociaż strasznie chciałabym wiedzieć, co tam jest napisane, nie mam zamiaru dać jej powodu do zadowolenia.

W końcu udaje mi się odcyfrować kilka słów.

Ekasya.

Tarcza.

Lochy.

Śmierć.

Każde słowo jest jak cios. Tylko dlatego, że coś jest prawdą i wie się o tym, nie znaczy, że przypominanie o tym nie boli.

– Usatysfakcjonowana, kwiatuszku?

Oddaję zwój i głośno przełykam ślinę.

Luz podchodzi do kominka, od płomienia świecy podpala pergamin i rzuca go na ruszt. Opiera się o kominek i z nieodgadnionym wyrazem twarzy patrzy, jak wiadomość zmienia się w gryzący dym.

Kiedy nie zostaje nic poza popiołem, Luz znów opiera się o biurko, wkłada coś do ust i przez długą chwilę obraca to językiem. Jej miarowy, niemal elegancki oddech dochodzi do mnie, jakby wysłała go z wiadomością. Goździk.

– Nie umiesz czytać, prawda? Tak myślałam już w chwili, gdy podpisywałaś umowę przed testem na perfumiarza.

– Też coś – odcinam się.

– Nie zmieniaj fachu, bo zupełnie nie umiesz kłamać. Z drugiej strony umiejętność czytania jest bardzo przydatna niezależnie od powołania. Czytanie może cię zabrać, dokąd chcesz. To jeden z twoich braków, z którym trzeba będzie coś zrobić na dłuższą metę. – Patrzy z powrotem na kominek. W jej ciemnoniebieskich oczach odbijają się płomienie. – Choć w tej chwili tak chyba jest najlepiej.

– Co masz na myśli?

Prostuje się i strzepuje z szaty niewidoczny pyłek. Tym ruchem zdradza, że pod spodem nadal ma ubranie podróżne. Myślałabym raczej, że jak najszybciej będzie chciała zmyć z siebie smród szlaku.

Przesuwa dłonią wzdłuż półek, zdejmując słoiczek. I kilka fiolek, które wkłada w skórzany worek, związa go i starannie zawiązuje. Wszystko to dokłada do paczki stojącej przed drzwiami.

– Możesz się tu rozejrzeć. W czasie mojej nieobecności możesz używać wszystkiego, co ci potrzebne.

Jakby odruchowo mój wzrok wędruje do półek. Muszą tam stać setki ingrediencji. O wielu z nich nawet nie słyszałam.

– Nieobecności? Dokąd się wybierasz?

Obracam się w kierunku biurka.

Ale Luz już wyszła.

Rozdział 3

ASH

– Muszę przetrwać – mamroczę do wilgotnych i lepkich kamieni w ścianie celi. – Muszę przetrwać.

To refren, który powtarzam przez niezliczone godziny, aż słowa niemal tracą swoje znaczenie. Być może teraz tylko ich brzmienie, prawie namacalne, kiedy szepczę je w duchocie lochu, trzymam mnie przy życiu. Bez nich mój umysł zupełnie by się pogubił.

Wydawało mi się, że znam ból. Ból serca i strach ojca, który postrzegał mnie jako przeklętego. Cierpienie, gdy patrzyłem na matkę, która gasła i nikła na moich oczach. Głęboki, dokuczliwy głód, jakiego można zaznać tylko wtedy, gdy się jest samotnym dzieckiem ulicy. Zadawniony ból. Pogrzebany ból. Ostrza pamięci stępione upływem czasu.

Są też i nowsze katusze. Zdruzgotanie na widok Nisaia balansującego na granicy śmierci – krzywda, przed którą powinienem go ochronić. Cierpienie z powodu wiedzy, że doprowadziłem Rakel tam, gdzie mógł nastąpić jej koniec. Nadal widzę strażnika, który ją złapał w sali tronowej, i czerwoną, szkarłatną krew, kiedy przycisnął nóż do jej szyi.

Potem już tylko agonia. Ból, kiedy przestałem być sobą.

Teraz wiem, że nie miałem pojęcia o tym, czym jest prawdziwy ból.

Ani trochę.

Od ilu księżyców tu jestem? Dwóch? Trzech? Czterech? Wystarczająco długo, żeby urosła mi spora broda i skołtuniła się od brudu.

Byłem drapany, krojony, z moich żył krew ściekała do fiolek. Rozgrzane do czerwoności metalowe narzędzia przypalały mi skórę. Ramiona miałem rozciągane na kole, aż wypadały ze stawów z ohydny trzaskiem, a potem jeden z ubranych w czarne szaty asystentów Zostara obserwował, ile czasu mija, by kości wróciły na miejsce w stawach.

A sam Zostar? On zadowala się wycinaniem fragmentów moich tatuaży maleńkimi i strasznie ostrymi skalpelami. Idealnie przycięte fragmenty ciała i skóry pokrytej tuszem drżą lekko w słoiczkach, gdy je tam wkłada. Uśmiecha się za każdym razem, gdy prowadzi swoje makabryczne badania.

Po tym wszystkim moje ciało się goi. Nawet kiedy usunęli mi środkowy palec u nogi, wystarczyło kilka dni, żeby ciało zabliźniło się nad kością i znowu pokryło gładką skórą, choć palec nie odrósł, jak się spodziewali.

Więcej niż raz żałowałem, że tak się dzieje, że moje rany się nie zaogniają, że się nie wykrwawiam i nie czmycham do królestwa zmarłych.

Bo potem nastaly długie noce, kiedy uświadomiłem sobie jak przez lepką mgłę, że Zostar musiał zakazać dodawania mi do wody eliksiru Linoda. Noce spędzam na poceniu się i dreszczach, wymiotuję na posadzkę, ponieważ nie jestem w stanie doczołgać się do wiadra na nieczystości. Nudności i konwulsje szarpią moim ciałem, nękanym dodatkowo skurczami jeszcze długo po tym, jak w żołądku nic nie zostało. Wielokrotnie marzyłem o śmierci, chciałem, żeby kłątwa, która krąży w moich żyłach i scala mnie za każdym razem, choć raz zawiodła.

Ale nawet w czasie najgorszych chwil, widziałem odległy miraż.

Bursztynowe oczy, które rzucały wyzwanie z zaciętkim uporem albo pytały z czułą delikatnością. Uśmiech, który sprawiał, że robiło mi się ciepło w piersiach. Zapach pustynnej róży.

Będę pamiętał, dlaczego muszę przeżyć.

Rakel gdzieś tam jest, wysoko ponad labiryntem tego lochu. Przebywa w świetle słońca. Ale jak długo jeszcze? Nie ma pojęcia, kto naprawdę stoi za otruciem Nisaia. Kto ścigał nas po całym cesarstwie. Kto nadal na nią poluje.

W trakcie najgorszego momentu ostatniej sesji, kiedy moi oprawcy wypełnili szczelnie zamknięte pomieszczenie kwaśno pachnącym dymem, aż zacząłem się krztusić, a ręce wygiąłem w szpony, którymi chciałem rozerwać sobie gardło, żeby zaczerpnąć powietrza, jedyną rzeczą, która powstrzymywała mnie przed poddaniem się, była myśl o dwóch osobach najważniejszych dla mnie na tym świecie.

Gdzie teraz przebywają? Czy są razem? Wyobrażam sobie, że schronili się w jakimś bezpiecznym miejscu. Determinacja Rakel, żeby wszystko doprowadzić do porządku, będzie ją paliła niczym gorączka. Nisai będzie ją powstrzymywał, aż będzie pewny jakiegoś planu. Będzie myślał całościowo o tym, co jest stawką; o tym, że zagrożenie mogło pochodzić z wielu miejsc w stolicy i spoza niej; że musi mieć gwarancję powodzenia, zanim wykona następny ruch.

Czy w ogóle przyszło mu do głowy, że największego wroga ma w człowieku, który został wybrany na medyka jego ojca? W człowieku, który od dawna jest najbliższym chorego cesarza, jeśli Kaddash nie uległ ostatecznie Schorzeniu. W człowieku, który utorował drogę Iddo do objęcia regencji i który bez wątpienia planuje uderzyć w Nisaia ponownie.

– Muszę przeżyć – powtarzam do ściany. – Muszę znaleźć sposób wydostania się stąd.

– Ash? – dobiega z sąsiedniej celi ciche pytanie.

Jestem zbyt wyczerpany, żeby się ruszyć, nie stać mnie na nic więcej poza nikłym, smutnym uśmiechem. Dopóki nie znalazłem się w lochach pod Ekasyą, nawet nie myślałem, że poczuję ulgę, dowiadując się, że ściany mają uszy.

– Ash, musisz ci coś powiedzieć. To ważne. – Niemal dorosły głos Dela zawodzi i łamie się na ostatnim słowie.

Z trudem stoję na nogach, otrząsam ze sztywności pleców i podchodzę do przeciwległej ściany. W zaprawie murarskiej niedaleko rogu celi jest pęknięcie, w dole na wysokości ramienia, kiedy usiądę, opierając plecy o ciepłą, oslizglą ścianę, o czarny ekasyański kamień rozgrzany, jakby był na słońcu. Szpara jest na tyle szeroka, że coś przez nią słychać.

– Jestem tu – mamroczę do szczeliny.

– Dzięki niech będą Bliźniakom. – Hągmirski akcent Dela jest wystarczająco słyszalny nawet w szepcie i zdradza fakt, że bardzo niedawno opuścił góry. Chłopak odwiedził stolicę ze starszym bratem i najwyraźniej żaden z nich nie był przygotowany na ścisk panujący na ekasyańskim targu. Zostali rozłączeni, a Del zagubił się w bocznych uliczkach przy jednej z głównych szprych bulwarów miasta i tam wpadł na dwóch wielkich mężczyzn, którzy go złapali, związali i wrzucili na wóz. Zauważył jedynie, że mieli wytatuowane czarne słońce na spodniej stronie nadgarstków.

Bractwo Płonącego Słońca.

Okrucieństwem byłoby powiedzenie mu tego, ale to, że Płonący znaleźli go tak szybko po przybyciu do miasta wydaje się dziwnym zbiegiem okoliczności. Założyłbym się, że jego brat miał zamiar sprzedać coś więcej niż tylko olejek cedrowy, który taszczyli całymi tygodniami na plecach z górskiego pasma Alet.

Jeśli to prawda, niech gniew matki Esiku spadnie na pozał się bogini brata tego biednego chłopca. Nikt tak młody nie powinien tu być.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl